

**STEFAN
ŻEROMSKI**

POWIEŚĆ O

UDAŁYM

WALGIERZU

Stefan Żeromski

Powieść o udułym Walgierzu

«Public Domain»

Żeromski S.

Powieść o udałym Walgierzu / S. Żeromski — «Public Domain»,

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Stefan Żeromski

Powieść o udałym Walgierzu

Na progu wyniosłym morza, gdzie sosny rumiane cień błękitnawy na jasne piaski rzucają, – oparty się wozy królewskie. Ustały zgonione konie, zarznięty się w piasku skrzypiące koła. Każde król rozbić szkarłatny namiot swój. Zwiśla ciężka, złota frędzla zasłony, na wiotki piasek opadła. A przed zasłoną, na żerdzi głęboko wkopanej szeleści plemienna stanica, królów wojenny proporzec. Czterdzieści wnet stanęło stołów. Siadła pospołu drużyna bojowa. Siadł i najemnych gości tłum: Pieczeniagi i Waregi, Czechy i Morawy, za złoto żołdu zdradzające swój ród Nemety, Sasy, Bawary.

Na siedzisku wyniosłem rozpostarł się król. Szkarłat rodowy piastowski obleka jego tron i ziemię szeroko-daleko. Po prawicy i po lewicy ma król wiciądze swe, ojczyce ziemi.

Cieszy się król.

Pierwszy to raz od tylu czasów wielki rostruchan podnosi. Bezcenne migają kamieńce, lśni złoto, gdy do ust niesie wino z za gór, z za światów. Na cześć drużyny pije. Krzyczy mu w łód i w morze drużyna wieczną cześć.

Haw – białe morze. Pod sinym, dalekiem niebem chluszcze bryzgami fal, na niskie piaski dumne wełny wyrzuca.

Władacz wciąga nozdrzami wiatr słony, w siwą dalekość morskich potoków oczy zanurza.

– Na twoją cześć, głębokie morze! Na twoją wieczną sławę, święta, jedyna moja! – woła w płaszczyznę ziemi.

– Pieśni! – wzywa drużyna.

Wyjdzie z tłumy, gdzie czeladnicy, pacholy i posługacze wojenni, z pomiędzy chorągwi chłopskich – starców kudłatych zgraja. Siwy tłum. Zasiądą wokrag. Nastroją liry.

Śpiewają panu słowiańską, przedwieczną, wojnopamiętną pieśń. A pieśń jasnego pana za nogi obłapia, czołem mu bije.

A pieśń go woła...

Wsparł na mieczu łokieć, na pięści wielką głowę niezwyceżyony. Obrócił jasne oczy na dziady grające. Słucha. Słucha, jako ta pieśń uderzy w krzyk, pomstą pomstuje. Dym kłębam siwymi, ogień drżącymi jęzory wybuch z niej. Ku niemu leci, ku jego sercu z żelaza, ku piersiom szlochającym tajemnie pod kolczą zbroją, co płaczu, jako żyw, nie zaznały. Krzemienie proc furczą, cięciwy w pieśni tej brzęczą i brzechwy lotnych strzał świszczą. Słysząc w niej płacz śmiertelny dzieciąt bezsilnych i dziewczek ledwie podrosłych. Hańba z niej woła ojczyców, za siwe kudły wleczonych ze siół przez długie mosty w kajdany żelazne, w plenicę.

Czarna się dymi krew, co wypłynęła bez pomsty z żył mocnych chłopów nieznanemi broniami pobitych w paliszczach, kamienną ongi ciosanych siekierą, w warownych grodach pośrodku bagien i w tynach nad słodkimi wodami, gdy się z najeżdżcą piersią gołą o jego żelazną pierś siepali.

Wzdycha król. Ręką szarpie głównię mieczową. Krwawemi oczyma, w których ogień bucha i dym się kłębi, wodzi po ludziach.

Nagle się ucza przerwie. Jeden drugiego pyta: czemuż to władacz sposepniał?

Postrzegł król ich milczenie i skinął ręką na grajki:

– Milczeć!

Porwie w lewą dłoń czarę, a prawą uściśnie jelca straszliwego koncerza. Wstaje olbrzymi. Ciało jego obleczone od stóp do głów w kolczugi sieć stalową. Kuta koszula pancerna lśni na ramionach, a płach jej mieni się i drży na wielkich piersiach. Stolica pod stopą żelazną trzeszczy. A w pięści zwartej sieczysty brzeszczot raz wraz szczęka.

I słowo wieszczu pada w tłum:

– Słuchajta!

Wodze, namiestnicy, i wy, chorągwie! Na śmierć piję Sasom, którzy na nasze ziemie przedwieczne idą. Abym ich, póki mego żywota, tym mieczem i waszym mieczem wyrąbał, zdradzieckiem żegadłem wyżgał, żeleźcem grotów przebódl, garścią zemściwą po ciemku wydusił. Ziemią, nagłym pożarów zagonem wiecznie za nimi chodźmy, rzekami będziewa tajemnie brodzić, w morze na łodziach zbiegniemy i na wałach bezdennych pod próg uśpiony podpłyniem. Złupimy miasta i sioła, spalimy siedliszcza do ostatniej przyciesi...

Okrzyk:

– Na śmierć Sasom!

– To wam zapowiadam wszem wobec: nie pozwolę grzebać trupów pobitych, gdziekolwiek Niemców dopadnę – w kraju Dziadoszan, czy na piaskach lutyckich. Niechaj z nich korazuny i gugelhauby, nabiodra i plechy nagolenne łupi ciura, trupy ich niechaj wilcy roznoszą po puszczech, sępy po skał grzebieniach. Niechaj nagi między zasiekami leśnymi leży palcgraf Burkhard i margraf Gero. Nie zazna czci, ani rozkoszy spoczynku w ziemi, która jest moja, Frydrych mąż żelazny, Widredy i graf Folkmar z dwiestą zwalonych rycerzy! Niech gniją u wierzchu bagna w potokach krwawych i w pyłe! Na wieczną rzeczy pamiątkę zostaną niepogrzebani Adelhajd, Ira, Thietmar, Doda i Ludolf. Tak rozkazuję. A ktoby się woli mojej sprzeciwił, przez Boga wiecznie żywego – biada mu!

Wołanie:

– Biada mu!

A skoro siadł, każe czeladnikom odpasać sprzączki skórzanych tłumoków i wywalić przed bracią wojenną zgarniony za Odrą łup. Sam rzuca w ciżbę głębokie czary i kruże ze złota, rogi i kielichy, sadzone parangonami bezcennej wody, dzbany z kryształu przejrzystego, jak woda, greckie amfory i szkatuły niemieckich majstrów, cudnie w metalu kowane. Między srogie zastępy w krzywoślępą hordę Pieczeniagów każe nieść w darze italskie arbalety, cisowe kusze, zaciągane lewarem z żelaza, hiszpańskie tarcze i krótkie piki. Pieszym chorągwiom chłopów, odzianym jeno w serdaki a czuje, w szłyki z rogami i kły, uczynione z obłupionych łbów dzików i turów, wilków i lisów, uzbrojonym jeno w oszczepy z osękami, w rogaciny, w kamienne oksze na długich styliskach a wielkie na chłopa pawęże, szczodrze rozdaje czekany, barty i obuchy z żelaza, cepy kolczaste, smycze i arkany z surowego rzemienia. Konnym swym wojom każe nieść wielkie, obosieczne koncerze, radość serca męskiego, i cudne kapaliny z połyskliwego żelaza, miedziane nagłowne myśnice, czepki kolczaste, rękawice, płachy przedsobne i zasobne pancerczów. Rotom drabów najemnych sypie bez liku, garściami, srebro i złoto denarów kupieckich. A gdy tak szczodrze król wręcza dary każdemu ze swych rycerzy, każdemu ze swych sług do ostatniego pacholęcia, słyhać od czat dalekich wrzaskliwe hasło rogu. Wszystkie się oczy w tę stronę zwróciły i jako czujne ogary pomknęły w las. Oto wyszedł z brodów orszak konny pod czatowniczą strażą i ku namiotowi pańskiemu podąża. Przysłonił wódz dłonią oczy i wilcze miota spojrzenie.

Aż znagła wstał.

Ciężko po stopniach idzie z tronu.

Zmierzały wprost ku królewskiemu stołkowi wielkie rycerze niemieckie, zakute w żelazo. Forgi wielobarwnych piór, jakoby obłoki na czubach krzesanic, chwiały się na wierzchołkach obłych szyszaków. Nieustraszone ślepa patrzyły zuchwale z widzierów hełmowych. Każdy miał prawicę żelazną na klindze miecza, a lewicą ścisnął rękojeść mizerykordyi. Ze środka ich, jakgdyby z zamczystego łona zastępu, wyszedł człowiek chudy, z kaprawemi oczyma, z twarzą wykrzywioną od boleści. Nogi miał bose i nagie aż do kolan, ręce nagie aż do ramienia. A nagość jego kości kryła kapa wytarta, z nędznego sukna żaloby uszyta. Pod nią wisały strzępy mniszego habitu. Na głowie miał czapkę biskupią, w ręku biskupią krzywulę. Ujrzawszy w oddali majestat, stanął skulony, stopa przy stopie, kolano przy kolanie. Podniósł rękę i pokazał w niej krzyż.

Wnet blada trwoga skupiła dookoła wodza drużynę. Opat-doradca przysunął się do pańskiego stołu i szepce:

– Panie!... Bacz... Święty człowiek idzie przeciwko tobie.

– Tenże to z Myśny?

– On. Patrz, płacze.

– Czegóż płacze?

– Płaczek on Boży. Kaprawy, patrz, z płakania. Bosy. Bez koszuli i bez nogawic zimie i lecie.

A zamiast łoża pień ma bukowy, który był sobie wydłubał w tajemnicy przed ludźmi. A obwiedziony jest pień-łoże płótem z tarniny, żeby go kolce wyrywały ze snu. Głowę zaś, panie, układa na poduszce z badyłów róży dzikiej. Za dnia, gdy nań nie patrzy nikt, wdziewa na głowę mitrę biskupią z pnia drzewnego uciosaną, na której ze wszech stron ciężkie zawiesza kamienie.

– Czemuż to czyni, powiedz?

– Żeby go, panie, biły po głowie, gdyby się o sprawach żywota ziemskiego zadumał. Patrz, wielki królu, – na tobie zbroja złożona z łusek stalowych na skórę nieprzebitą naszytych, pod stopą twoją szkarłat bezcenny. A na nim gałgan zetlały! Wiedz o tem, panie. Zanim, posłuszny woli cesarskiej, po stopniach stolicy biskupiej poszedł, gdy w puszczy, w bratnim eremie przebywał, widzieli bracia na zemdlonym od twardej pracy, że przepasany jest łańcuchem żelaznym z kolcami, który mu w biodra wrósł, a skórę brzucha przetaił i w otwartych wieczyście ranach gołych wnętrzości dotykał.

Duma król. Z głębi potężnych piersi wzdycha. Aż oto woła ku biskupowi:

– Wydam ci ciała poległych w boju, jeno tu nie płacz przede mną.

Szepce opat do ucha monarchy:

– Panie, ach, panie!...

Patrzy król pod przyłbice, w zawarte maski onego towarzyszków lwiami oczyma. W oczy ich patrzy ze straszliwym uśmiechem, jak między żelazy goreją.

– Wydam ci ciała poległych; z chwałą je chowaj w tej ziemi.

Pomruk złowrogi w drużynie. Spinają sprzączki żupic pancernych. Mocno przypasują obojczyki i blachownice, zarękawia i fartuchy kolczate. Nisko spuszczaają przyłbice, żeby ocienić lica nanośnikami. Trzask słycać mieczów i pobrzęk cięciw. Pomruk głośniejszy w drużynie. Gwar.

Schyla się biskup, podnosi krzyż i błogosławi nim króla.

Postąpił król ku biskupowi. Ujął dłoń i powiódł w pokorze bosego ku złotej zasłonie namiotu. Orszak niemiecki za królem. A gdy komornik spuścił za nimi zasłonę, rozejdzie się w obóz drużyna z gwarem złowrogim, z szeptem zemściwym. Zostali jeno na placu czterej.

Stoją w hełmiech zawartych. Jeden ma kamail na głowie, szyszak z nanośnikiem, spadającym aż do brody, drugi i trzeci mają lambrekiny frankońskie. Paize dzierżą na lewym ramieniu. Na wielkich mieczach się wsparli. Cierpliwie stoją. Długo czekają milczący. Aż ów na czele, którego głowę okrywa olbrzymi gocki szłom, Walgierz o dłoniach potężnych, o udach z żelaza a kolana z miedzi, uderzy głośno mieczem w puklerz.

Raz, drugi.

Cisza.

Uderzy Walgierz powtóre, z łoskotem.

Rozdzieliła się złota zasłona. Komornik.

Uderzy Walgierz Udały mieczem w puklerz potrzecie.

Rozdzieliła się złota zasłona.

Król.

Stoi między zasłonami z głową odkrytą, jasnowłosy. Ręka jego za pasem. W oczach zaduma. Patrzy ku czterem.

– Udały... – cicho wyszepta.

Milczą rycerze.

– Słuchasz, patrzysz, mierzysz chytremi ślepiami me sprawy. Wciąż mrok na twojej twarzy, a chmura na twojem czole.

– Wciąż chmura na mojem sercu!
– Wciąż cię pycha na rumaku oszalałym unosi. Wciąż ci strzyga o jednym zamku dalekim szepce po nocach?
– Dusza się moja wydziera do Tyńca, praojcowego dworzyszczca, do stolicy mej ziemi.
– Milcz o stolicy twej ziemi!
– Dawno, dawno już milczę. Nazbyt dawno już milczę.
– Bylebyś nigdy nie zaczął przemawiać o tem, co na wieki minęło. Goście w moim obozie...
– Dziś będę mówił.
– Nie mów dziś nic, koniędzu!
– Dziś będę mówił pierwszy raz i ostatni.
– Pilnujże dobrze głowy!
– Oto me słowo: idę ze stanu z towarzyszymi. Niech słyszą Niemce, że z obozu twojego wychodzę! W dziedzinę moją, w żupy wiślańskie powracam. Przed chwilą piłeś, wodzu, w dłonie nasze puhar rycerski na zgubę rodu Sasów. Zaprzysiągłeś zemstę żywym i trupom. A ledwie się pokazał bosy wróż, już się przelekkł haniebnie.
– Sądziś moje uczynki! Ja wasz jedyny sędzia i wódz! Ja życia i śmierci pan!
Śmieje się hardo Walgierz Udały.
Spojrzą po sobie z żelaznych oknisk wściekłe oczy czterech rycerzy. Milczą żelazne ich usta.
Król rozkazuje:
– Zdejmijcie zbroje. Odpaszcie pasy. Złóżycie na ziemi paize, a na nich miecze i włócznie w krzyż.
Spojrzą po sobie powtóre z żelaznych jam okrutne oczy. Milczą żelazne usta. Rozkaz królewski niespełniony.
Szarpie król pas. Porwie miecz. Klasnął w ręce. Biegnie ku niemu komorzych tłum. – Rozkazał:
– Trąbić!
Zawrzasną rogi. Biegnie rycerstwo. Trzepie się ręka królewska ze stopni tronu nad głowami zuchwałej czwórce.
Rozkazał:
– Sąd! Szarpajcie ich w sztuki mieczami. Oburącz! Walcie w zdradzieckie piersi obuchy młotów!
Rozruch i zgiełk w drużynie. A porwać za koncerz, za młot nikt nie ma siły.
Nie zadrzał Walgierz Udały i nie uchylił głowy ni jeden z towarzyszków: Mściw, ani Wydrzyoko, ni Nosał wielkoramienny. Stali czterej przeciwko wojsku.
Wokoło żelazny mur rycerskich ludzi. Na silnych koniach kiryśnicy w zbroi zupełnej. Paize na ich ramieniu rozsiały wszechmocną zgrozę, a drzewa włóczni pod pachami – czyhają. Daleko stanęły seciny pieszych chorągwi. Jasno srebrzone pawęże, wielkie na chłopa, stworzyły równy, śmiercią błyszczący tyn, co idzie daleko, daleko, aż do fal pienistych morza. Giewie dobyte z pochwy czeka na rozkaz, na cios. W słońcu giewie połyska. Napięte są cięciwy samostrzałów.
I rzekł w koło wojenne i w ulicę rycerską gromowym głosem Walgierz Udały:
– Drużyno polska, drużyno bojowa! Schodziłem z tobą, drużyno bojowa, ziemie saskie i ziemie lutyckie. Paliłem z tobą zamczyska i miasta. Tym oto mieczem rąbałem za dnia w boju męża, w żelazo okute. Tą oto dagą przesywiałem po nocy serca śpiących. A teraz, słuchaj, drużyno bojowa, szarpie mię słowy król, który me ziemie w szpony porwał. Szarpie mię w sztuki jakoby mieczem, przesywa uśmiechy piersi moje jakoby puinałem. Znieważa król mnie, wiślańskiego koniędza, władzcę na Tyńcu i ponad całym światem rzeczonym od niezmiernych gór po łyse góry, pana wszech puszczy jodłowych aż po mazowszańskich piasków sosny. Bije król słowem twardszem od obucha okszy w piersi Nosała z za Dunajca, Wydrzyoka z za Pilicy i Mściwa z puszczy, gdzie się poczyna w ciemnościach bożych Czarna Nida. Słuchaj mię, królu polski! Mnie wiślańskiego władacza...

– Nie słucham cię, rycerzu Udały. Nie znam twej władzy i zakazuję ci zwać się panem świata wodnego, widni świętej, przez którą biała Wisła idzie. Zakazuję ci zwać się władcą puszczy. Obie oce moje sięgają za łyse i za niezmierzone góry, a ręce moje sięgają w dalekie morawy. Moje są dunajce-wody bystre-głębokie, co ze śniegów się rodzą, i moje są strumienie, co z puszczy jodłowej płyną niskimi łąkami. Wziąłem ziemie, które swemi nazywasz, żelazną dłonią. Jam jest jedyny ich odziedziciel. Wydarłem cię z morawskiej pięści, ja wolny i niezwalczony. A przygarnąłem cię pod mój porzecz, żebyś nie leżał u cudzego progu i żebyś chodaka krzywoślepej dziczy węgierskiej nie całował. Uczyniłem cię rycerzem polskim, pozwałem cię i powiodłem na zwycięstwa przeciwko Niemcom, którzy są wrogowie na wieki wieków mego i twego plemienia. Ziemiom twym kazałem wrosnąć na wieki w moje ziemie. Siłom twym kazałem wrosnąć w moje siły, w moje ręce żelazne, w głos mego rogu, w połysk mojego pancerza. Moje siły są z waszych pancerzów i szczytów, pióra mego szyszaka wzdyma wicher waszego krzyku przed bitwą. Moje siły nie są moje nie są wasze, jeno są nasze. A siły nasze zrosły się w naszą rzecz wiekuiłą, rzecz pospolitą...

Woła zuchwale Walgierz Udały:

– Królu polski! wychodzę z twojego koła, gdyż nie chcę służyć pod twoją stanicą. Jestem ci równy i władzy twojej już nie chcę dźwigać. Dotąd dźwigałem, a teraz nie chcę. Wracam na zamek, gdzie ojce moje od początku czasów wadały. Ze mną Wydrzyoko, Nosal i Mściw. Każ mię porąbać mieczami, walić w me piersi młoty, bić w moje oczy z kusz. Nie chcę już Niemców wojować pospołu z tobą, któryś jest twardy samowładca, któryś jest straszny najeźdźca, a bosego się Niemców wróża boisz. Nie chcę z tobą wojować, bo mi się wojować z tobą nie podoba!

Jak grom spada z wysokości słowo królewskie:

– Znam ja cię, władzco drewnianego zamczyska, hardy ojcowicu nędznej dziedziny! Widzę na wylot twe myśli. Chodziłeś pod moją sprawą i w cieniu mego proporca na Sasy i na lutyckie sioła. Łakome twoje ręce czerpały moje mienie, a oczy zdradzieckie wypatrywały moc moją. A teraz chcesz moc moją w swoim zawrzeć zamczysku, za tymem ją przyczaić i przeciwko mojej pięści wykrecić. Wziąłem cię za gardziel tą pięścią, gdyś był w broni skórzanej, którą ci z turzej skóry ciura uszył, a kowal żelaznemi nabił gwoździemi. Teraz odziany jesteś kolczugą z niemieckiej stali, którą z ramienia swego zwlokłem i tobem z łaski dał. Ale przetnie miecz mój łuski...

– Na głowie mojej szłom pradziadów!

– A ty, Mściw! Ty, Wydrzyoko! Ty, Nosal! Dałem wam miasto wilczych szłyków zbroje rycerskie. Otworzę ja te zbroje nanowo! Znam ja nienasycone wasze gardziele! Znam piersi, pełne szału kłótni, a ślepie chciwe jak u sępów!

Ponuro goreją oczy towarzyszy Walgierza. Ręce ich na głowniach mieczów, na toporzyskach złożone – czekają. Zawarte milczą usta.

Uciekł w noc ciemną Walgierz Udały z obozowiska polskiego króla. Z nim Wydrzyoko towarzysz, z nim Nosal, a także Mściw. Puściła ich straż wolno (rzekomo zmorzona snem), a otworzyła im między hufcami drogę wolną drużyna bojowa (rzekomo otumaniona czarami).

Po mostach zrazu mknęli zbiegowie drewnianych, polską sztuką rzuconych na błota i sitowia, na trzciny, łąki i bagno. Gdy wyszli z obszaru wodzisk kaszubskiego pojezierza, w pierwszych na suszy siedliskach wyprowadzili z za zawor rosłe wierzchowe konie. Odtąd już dniami-nocami pędzili w cwał. Ku ostrowcowi łysych gór, z mazowieckich równin wyrastającemu, była ich droga. Przeszyli leśne sosnowe puszcze, suche bory i świąty piachów, minęli widnie jeziorne, przebrnęli w bród słoneczne rzeki, przesadzili strumienie. Aż ujrzał Mściw i pokazał daleko sine pasma na niebie. Wparli żeleźca w boki biegunów. Dopadli wskok jodłowych kniej. O ciemnej nocy weszli w nie szlakiem-bezdrożem. Kamień rudy, od wody stoczony z wysoka, zgrzytał pod końskim kopytem w

suchem łożysku ruczają, kiedy się darli pod górę. Drzewa wielkolistne, buki i klony, dęby i jarząby stanęły kołem. Kosmate, czarne ręce jodłowe przywitały strudzone ciała i zgonione dusze zbiegów.

– Teraz, – rzecze jeden, – już my na wiślańskiej, na ziemi. Niechże to naju szuka polski król.

– Ha-ha!

– Niechże ta szuka pilnie.

Zstąpili nad ranem w nizinę, ku łąkom zawilgłym od niecieczy, a utajonym w jodłowym pustkowiu. Rumiany kwiat górski przed oczyma ich po nadrzeczu strumienia. Zapach niewysłowiony płynie powietrzem. Ptaszczy śpiew...

Ujrzą z leśnego pobraża dolinę, rozległą między puszciami. Góry nad nią z północnej strony wielobarwnym lasem odziane, góry z południa. Zachodnie wiatry odgania od doliny niskiej zasłona, jakoby sworzeń górski, a ode wschodu czernieje wyniosła macierz łańcuchów, wszystka w tumanie, we mgle.

Stanęli mężowie w strzemionach, nakryli dłońmi oczy od blasku rannego słońca, co się w wodach dalekich nurzało. Patrzą w dół. Góry przed nimi strome, góry okrągłe i pochyłe. Cudne błamy lasów, bezgraniczny ciąg puszczy, jakoby dym z ziemi wybuchły, płynie z jednego szczytu na drugi. Tam i sam osłonięta jest ziemia jeno pawłoką brzoźowych bugajów, co zstępują ku dolinie uroczej, tworząc widok piękności nieporównanej. A jeśli ma być widok jej przyrównany, to jedynie do widoku piękności piersi dziewiczych, gdy się przed stęsknionymi oczyma nagle odsłonią. Aż zakołyszą się od szlochania żelazne bary Mściwowe. Upadł w szeroką dolinę olbrzymi jego krzyk:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.